

Albert Boissiere.

# Człowiek bez twarzy.

10

(Ciąg dalszy).

— Jeżeli ci się podoba, możesz denuncjować mnie i zniszczyć wszystko, czegoś sam dokonał... Lecz opuścić Ewelinę w chwili, kiedy jej grozić może najwięcej przeciwności — nigdy! Wszystko mogę uczynić, wszystko, ale nie pojadę z tobą!

Przypuszczałem, że Joe Duncan odpowie na me szczere i stanowcze słowa wybuchem zwykłego sobie gniewu. Lecz czy to przeszkodziło mu wejście nowych gości, czy też nie zdawał sobie sprawy z mej stanowczości i szczerości, dość, że odparł mi na to wzgardliwymi słowami:

— Ach! jakiś ty głupi!... Jesteś taki sam gajmaja jak i ten Marcadian... nie nie rozumiesz!... Czyż mam ci ciągle powtarzać, że wszystko, co czynię i chcę czynić, jest w twoim interesie?

I dodał, śmiejąc się:

— Chodź Jonatanie. Nie jesteś wart mej pobłażliwości; nie jesteś godzien, bym zapłacił Boldiniemu tak wielką sumę za twój portret!

I wyszliśmy z salonu Wystawy.

Na Polach Elizejskich zapytał mnie jeszcze:

— Dokąd idziesz?

— Na ulicę Michała Anioła... Po tem, coś mi powiedział, chcę zobaczyć Ewelinę.

— Spodziewam się, że nie zdradzisz się swoją czułościowością?

— Joe! — zawołałem — żebyś ty wiedział, co się we mnie dzieje, żebyś ty mógł pojąć całą okropność mego położenia, inaczejbyś mnie sądził.

I siadając do dorożki, dodałem jeszcze:

— Ty, Joe, uważasz się za bardzo przebiegłego i zdaje ci się, że wszystko w twoich rękach jest miękkim woskiem, który możesz gnieść dowolnie! Pozwólże mi powiedzieć sobie, że ja w twojej szkole uczyniłem znaczne postępy i że mogę ci teraz dorównać.

Nakaz milionera, bym jechał do Ameryki, jego sarkazmy i denerwujący mnie śmiech, wszystko to wchodziło mi jednym uchem, a wychodziło drugim. Nie chcę tutaj przedstawiać się za człowieka, nie poddającego się wrażeniom! Nie mam takiego zamiaru, położenie jednak, w jakim się znalazłem od wczorajszego dnia, większy na mnie wpływ wywierało, niż bezwzględne rozkazy milionera. Dzięki swemu stanowisku w domu Williama, stałem się panem losu Polidora!... A czyż nie to właśnie stanowiło jedyny mój cel od czasu bezrozumnej ucieczki po śmierci Gabryeli?... Nie! za nic w świecie nie pojadę z Joe Duncanem do Nowego Jorku. Jego groźby zadenuncjowania mnie są próżne. Czyż ja nie mam dla niego również groźb i jeszcze gorszych!... Śmierć Lucy' Weill, zniknięcie negra Dzima... Mogę teraz zmierzyć się z królem papierowym!

Narazie zajęty byłem tylko Marcadianem i Ewelina, gdyż z ich tylko strony mogłem się obawiać teraz jakiego nierozważnego kroku... Ewelina i Marcadian widzieli Polidora i poznali go... Nie byli w stanie skryć doznanego wrażenia i przez to mogli popełnić jakiś błąd, który pociągnąłby za sobą nieobliczalne skutki. Wyznać muszę, że gdybym dojechał do willi przy ulicy Michała Anioła, serce biło mi silnie. Józef służący, który podczas ostatniej mej wizyty uciekł przerażony na widok mej osoby, teraz przyjął mnie z wielką usłużnością, należąca Jonatanowi Brentano, współnikowi milionera.

Wchodząc pod obcą postacią do tego gabinetu, który tak dobrze znałem, doznałem uczucia jakiejś przyjemności, podobnej do zarożumiałości. Marcadian pospieszył zaraz ku mnie z wyrazem wielkiego zadowolenia, jakie sprawiała mu moja wizyta.

— Ach! master Brentano! — zawołał, wyciągając ku mnie ręce — jakże się cieszę! Chciałem właśnie pisać do pana z prośbą o rozmowę.

Przystąpiłem wprost do rzeczy i odrzekłem:

— Jakież wiadomości udzielił mi Joe, ojciec Williama! podobno jest pan skłonny do zerwania małżeństwa, jakie ma zawrzeć jego syn z pańską siostrzenicą?

— Pan jeszcze wszystkiego nie wie!... Ewelina zaraz zjawi się tutaj, by złożyć swe uszanowanie... Doktor, który skąd właśnie wyszedł, stwierdził obniżenie się temperatury i pozwolił Ewelinie wstać z łóżka. Leżała od wczoraj...

— Od wczoraj... z powodu tego zawrotu głowy? Chciałem zlekceważyć ten wypadek. Przecież to drobnostka!

— Nie. To nie drobnostka! — odparł Marcadian z głębokim westchnieniem... Powtórzę panu tylko to, co już mówiłem, iż pan nie wie jeszcze o wszystkim!... Nic więcej nie mogę obecnie dodać! Siadłem na fotelu i biorąc do ręki nóż do przecinania papieru, uderzałem nim po stole, by zaakcentować swe słowa:

— Pan jest wielkie dziecko, panie mecenasie... Muszę też oznajmić panu, iż chcę... pan słyszy, chcę, by William Duncan, syn mego współnika i mój spadkobierca, poślubił pańską siostrzenicę, pannę Ewelinę Barrabas!...

W chwili tej weszła do gabinetu Ewelina... Powstałem ku niej i wyciągnąłem na powitanie obie ręce. Biedne dziecko z bladą twarzą i z zaczerwienionymi od płaczu oczami, pospieszyło ku mnie z ufnością... Moja obrzydliwa twarz nie budziła już w niej wstrętu... Swą piękną główkę oparła czule na mem ramieniu.

Starłem się zażartować:

— Dlaczego moja panienska jest taka blada, czy chce wszystkich zasmucić sobą?

Podniosła na mnie swe zażawione oczy i powtórzyła za swym niedołężnym stryjem, który nie mógł tłumaczyć słabości swego charakteru młodą:

— Pan nie wie o wszystkim!

— Owszem, wiem o wszystkim dobrze — odpowiedziałem, sadzając ją koło siebie i zatrzymując w swych rękach jej drobne dłonie — rozumiem, iż William był bardzo nieroztropny, pokazując swoich chorych i tego niezdolnego Z... To się jednak już nie powtórzy, daję na to swe słowo!

— Ach! — przerwał przestraszony Marcadian — czyż doktor Duncan w istocie zamierza pozbyć się go, jak mi to dał wczoraj do zrozumienia?

— Byłoby to nieludzkie! — odpowiedziałem!

— Tak, tak, nieludzkie!... byłoby to nieludzkie — powtarzała Ewelina, nie spuszczaając ze mnie swego rozczulonego wzroku.

Marcadian kiwał tylko potakująco głową... a Ewelina odezwała się znowu z pewnym żalem:

— Nie chciałabym być mimowolną nawet przyczyną nieszczęścia tego chorego! Mam też do pana wielką prośbę...

— Która jest już wysłuchana... — odrzekłem z uśmiechem.

— Chciałabym być protektorką tego chorego.

— Już nią pani jest!... A teraz — zwróciłem się do Marcadiana — niech mi pan wyjaśni powody tego zerwania, o którym pan oznajmił Joe Duncanowi.

W odpowiedzi na to Marcadian i Ewelina szepnęli razem zażenowani:

— My nie możemy... Pan nas nie zrozumie!...

— Tego tylko nie rozumiem, jak można dla jakiejś niedorzeczności rozłączać dwoje młodych ludzi, którzy się kochają. Wilham kocha Ewelinę; Ewelina kocha Williama! Jest więc wszystko, czego potrzeba!

— Nie, to nie wszystko! — odparł z namaszczaniem Marcadian. Złe zrobiłem, iż przyłożyłem rękę do podtrzymania rodzącego się uczucia, a zapomniałem o strasznej tajemnicy, którą siostrzenicę ma uczynić sierotą.

— Ech! cóż znowu! — przerwałem. Chodzi o co innego, tylko pan nie jest szczerzy!...

Marcadian spojrzał na mnie przenikliwym okiem, jakby chciał przekonać się, czy przypadkiem nie domyślał się już tej strasznej tajemnicy, która przeraziła Ewelinę i odpowiedział powoli.

— Tak... chodzi o co innego... lecz szczerą którą mam względem pana, byłaby zdradą względem innych... Niech mi pan wierzy, master Brentano, że z prawdziwym żalem widzę się zmuszonym rzec się tego projektu małżeństwa i że z wielkim bólem siostrzenica ma poddać się temu nowemu losowi... Niemożliwością jednak jest, najzupełniejszą niemożliwością, by William poślubił Ewelinę.

Nuciłem lekceważąco pod nosem jakąś melodię, co mogło zostać uznane za brak dobrego wychowania ze strony Jonatana Brentano i chodząc po gabinecie, powtarzałem drwiąco:

— Co innego!... Co innego!...

Nagle stanąłem i zapytałem znienacka:

— A więc to co innego jest tylko Z..., nic więcej nie może być, tylko ten idiotyczny Z...?

Wuj i siostrzenica opuścili głowy, nic nie odpowiadając.

— Och! — rzekłem niedbale, spacerując znowu po gabinecie z rękami założonemi z tyłu — nic mnie nie obchodzi wasze sekrety i wcale ich nie chcę poznać!... Dałem pół miliona franków jako prezent dla narzeczonej Williama, ponieważ kocham go jak własnego syna, a on uwielbia swą narzeczoną i chce ją mieć za żonę!... Również i sto pięćdziesiąt milionów, jakie posiadam, są dla Williama po mojej

śmierci — a otrzyma on drugie tyle i od swego ojca!... Wobec miłości chłopca, posiadającego tak ogromną fortunę, pańskie skrupuły nie mogą mieć żadnego znaczenia i nie mnie one nie interesują... I to wszystko z powodu tego Z...! z powodu tego anonimowego — śmiałem się, starając się okazać zupełnie obojętnym — sprzeciwia się pan mym pragnieniom, gorącej miłości Williama, zgodzie Joe Duncana!... Moje drogie dziecko, lękam się, czy nie poddajesz się jakim zwodnym złudzeniom, pan zaś, panie mecenasie, jest zupełnie śmiesznym ze swemi obawami!... Z...! Z...! Kpiny są z tym Z...! Jeżeli państwo chcą, to go się zaraz wydali! Jeżeli państwo chcą, by go zachować, to pozostanie on tam na zawsze; daję wam na to swe słowo, iż pozostanie tam zawsze!... Posunę się nawet dalej i dam wam nowy dowód swej przyjaźni, swego wpływu na Williama, swej pomysłowości...

— Pomysłowości? — powtórzył zdziwiony Marcadian.

— Tak! Pan wie, iż William trzyma u siebie tego nieznajomego wbrew prawu i gdyby się o tem dowiedziało, doznałby wielu przykrości?

— Wiem... Mówił mi o tem wczoraj...

— Więc ja, obywatel amerykański, Jonatan Brentano, współnik króla papierowego, biorę tego nieznajomego na swą odpowiedzialność... Ja go oddałem na kurację do doktora psychiatry Williama Duncana... Ja go zawiozłem do tego domu zdrowia... Na siebie przyjmuję za niego wszelkie kłopoty... Sam będę odpowiadał przed policją!... Dodam jeszcze, że ten Z..., którego tyle znam, co i wy, nie wyjdzie z tego zakładu bez mego pozwolenia, które znowu zależeć będzie tylko od was!... Czyż mogę co więcej jeszcze uczynić?...

Trudno mi wyrazić zdumienie i radość, jaką zamalowała się na twarzy Marcadiana i w błyszczących oczach Eweliny. Szwagier ścisnął mnie serdecznie za jedną rękę a córkę za drugą. Jednocześnie chcieli mi okazać swą wdzięczność:

— Ach! master Brentano! pan nie może pojąć... Pan nie może domyślić się całej doniosłości tego, co pan dla nas uczynił!... Musimy błogosławić pana jak swego zbawcę. A więc pan nas zapewnia, że ten nieznajomy nigdy nie opuści zakładu doktora Duncana?

— Nigdy! nigdy!

— Ach! master Brentano, pan jest prawdziwie naszą opatrnością!

— To samo powiedział mi i William, który uważał mnie za umarłego od dwudziestu lat.

I obejmując czule Ewelinę, rzekłem na pożegnanie z udaną dobroduszością:

— Za takiego uznaję mnie i inni znajomi!

## XI.

Tak więc po najgorszych przejściach zacząłem odyskiwać trochę spokoju... Wzbudziła się we mnie nadzieja, że nadal już będę przeżywał w domu Williama, który istotnie kochał mnie jak prawdziwego ojca, tylko dnie radości. Ze strony Polidora nie obawiałem się już żadnego wybuchu. Widywałem go codziennie w jego celi. Zdawał się być zrezygnowanym zupełnie. William poddał się chętnie temu, co uważał u mnie za kaprys, za pewną ekscentryczność... Żartował sobie nieraz z mego opiekowania się nieznajomym, nie przykładając jednak do tego żadnej wagi i nie okazywał najmniejszego podejrzenia co do istotnego celu mej troskliwości o Z...

Wdzięczność Marcadiana i Eweliny była niezmierna. Okazywali mi ją na każdym kroku. Sądziłem, że mnie wywiedli w pole, tymczasem ja to uczyniłem z nimi.

Z biegiem czasu coraz mniej przywiązywałem znaczenia do tego, od kogo w gruncie rzeczy zależało powodzenie całej tej gry, coraz mniej zwracałem uwagi na Joe Duncana, który nie zajmował się wcale ostatnimi wypadkami. Gdybym był roztropniejszy, winienem był zbadać, co go skłoniło, iż nie tylko zgadzał się na małżeństwo swego syna, ale nawet wymagał tego. Myśli jednak moje zwrócone były w inną stronę, której się nawet nie domyślał, w stronę Polidora, ukrytego przed sprawiedliwością ludzką w zakładzie psychiatrycznym Williama Duncana. Układałem najpiękniejsze projekta na przyszłość. Widziałem Williama i Ewelinę złączonych ślubem, pędzących życie w szczęściu, jakie się im należało. Widziałem się pośród nich dożywającym resztek swych dni w spokoju, bez troski, uchodząc za ojca jednego, gdy byłem w istocie ojcem drugiej. Układałem przyszłość tak, jakbym mógł nią rozporządzać, nie przypuszczając nawet, że plany moje mogą przyjąć wręcz odmienny obrót.

...Pewnego pięknego lecz chłodnego poranka zapytał mnie William po pierwszym śniadaniu, czy